

BOROWICZ ZDOBYŁ BASTYLĘ

Jako pierwszy polski dyrygent Łukasz Borowicz poprowadził spektakl w Operze Paryskiej.

Czy „Hugenoci” będą jego biletem do pierwszej ligi dyrygentów?

JACEK HAWRYLUK

POLSKIE RADIO, PARYŻ

„Hugenoci” Giacoma Meyerbeera otworzyli 350., jubileuszowy sezon Opery Paryskiej. Blisko pięciogodzinny spektakl, niemal 250 osób na scenie. Premiera odbyła się 28 września pod batutą Włocha Michele Mariottiego. Ostatnim wystawieniem (24 października) dyrygował Łukasz Borowicz - został w ten sposób pierwszym polskim dyrygentem zaproszonym do poprowadzenia spektaklu w Operze Paryskiej, przy placu Bastylli. I wyszedł z tego obronną ręką.

Drogę do Paryża otworzyła Borowiczowi współpraca z Dianą Damrau. Niemiecka śpiewaczka miała być gwiazdą tego przedstawienia, ale z powodów zdrowotnych zrezygnowała. W Paryżu Borowicz poznał reżysera Andreasa Kriegenburga, związanego głównie z niemieckimi teatrami dramatycznymi, dyrektora Deutsches Theater w Berlinie. Od 2006 r. Kriegenburg sięga także po opery.

Borowicz, choć „wskoczył” tylko na ostatni spektakl, przy paryskiej produkcji pracował od samego początku. Był obecny na wszystkich próbach, które zajęły aż siedem tygodni, ale chodzi o spektakl bardzo wymagający. Z nutami też nie było kolorowo.

- Materiałów non plus ultra nie ma - śmieje się dyrygent, który doskonale zna polskie problemy z przygotowaniem partytur. - Podobno są w jakimś archiwum. Powstała zatem nowa edycja wydawnictwa Ricordi, która służyła tej produkcji.

Ukochany kompozytor Paryża

Muzyka niemieckiego kompozytora Giacoma Meyerbeera (1791-1864; imię to hold dla kultury ukochanych Włoch) w ostatnich latach wraca do łask. - To jeden z najpotężniejszych twórców w historii opery - tłumaczy Borowicz. - Po II wojnie światowej pozostał jednak postacią encyklopedyczną. Przedziwne. Wszyscy wiedzieli, że było coś takiego jak grand opéra, ale nikt jej nie słuchał. Muzyka stała się szacownym eksponatem.

Ostatnio jednak to się zmienia. Teatry operowe, szukając „nowego” repertuaru, przypomniały sobie o kompozytorze, bez którego opera w XIX wieku nie byłaby taka sama. - Nagle wszystkim się przypomniało, że Meyerbeer był ukochanym kompozytorem Paryża. Rządził tu w sensie repertuarowym w sposób prawie niepodzielny - przypomina Borowicz.

JACQUES DEMARTHON/APPEAST NEWS



Scena zbiorowa z „Hugenotów”, w której protestanckie wojsko szykuje się do bitwy z katolickimi uczniami

MONIKA REDZISZ



ŁUKASZ BOROWICZ:

Magia teatru to coś, co opanowało mnie od momentu, kiedy po raz pierwszy świadomie wszedłem do opery. To uzależnienie od sceny

„Robert Diabel”, „Hugenoci”, „Prorok” czy niedokończona „Afrykanka” to arcydzieła gatunku, nieobecne w polskim repertuarze. Borowicz marzy o poprowadzeniu „Roberta Diabla”, którym zachwycali się Fryderyk Chopin i Juliusz Słowacki.

„Hugenoci” dla Francuzów są pomnikiem. Akcja opery związana jest z nocą św. Bartłomieja. W libretcie odnajdziemy historyczne miejsca i postaci. To pięcioaktowy fresk, synteza XIX-wiecznych gatunków narodowych i podręcznikowy przykład francuskiej grand opéra. Premiera odbyła się w 1836 r. Do 1936 r. wystawiono „Hugenotów” w Paryżu aż 1118 razy! A później już ani razu.

Muzyka prowadzi spektakl

Nic dziwnego, że nowej, pierwszej od ponad 80 lat produkcji bardzo wycieczki. Niestety, pod względem reżyserskim spektakl rozczarowuje. Kriegenburg pokazuje „Hugenotów” w duchu teatru niemieckiego - w dużych przestrzeniach, w których niewiele się dzieje. Piętą achillesową spektaklu są pozbawione ręki reżysera sceny zbiorowe. A gdy naprawdę próbuje on prowadzić śpiewaków, wywołuje irytację

(jak w kluczowej „scenie błogosławienia mieczy” przed rzezią hugenotów).

Spektakl ratują muzyka i znakomite prowadzenie Łukasza Borowicza, który nadał partyturze sprężystość, giętkość i tempo. Zaangażowany od pierwszych taktów, od razu nawiązał doskonały kontakt z orkiestrą i solistami (zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że przed tą orkiestrą stanął po raz pierwszy). Gorąca owacja na zakończenie tylko to potwierdziła.

Spektakl miał perypetie obsadowe, ale ostatecznie udało się zebrać międzynarodowy skład kompetentnych śpiewaków z Amerykanką Lisette Oropesą (znakomita Królowa Małgorzata), Albanką Ermonelą Jaho (Walentyna) oraz Francuzką Karine Deshayes (Urbain) na czele. Panowie nieco odstawali, zwłaszcza Koreańczyk Yosep Kang w kluczowej partii Raoula. Ale już Nicolas Testé jako Marcel (francuski Zagłoba) okazał się znakomitą aktorem. W partiach Méru i drugiego mnicha wystąpił Polak Michał Partyka.

Skrzypek z batutą

Borowicz (rocznik 1977) z wykształcenia jest skrzypkiem. - Najbardziej fascynowały mnie koncerty filharmoniczne i występy wirtuozów tego instrumentu - wspomina. - W czasach licealnych opera, przynajmniej w ogóle mnie nie interesowała. Była czymś obcym, dziwnym.

Gdy jednak zetknął się z kanałem orkiestrowym i sceną, polknął bakcyli. Dyrygenturę studiował w Warszawie u Bogusława Madeya i Antoniego Wita. Asystował znakomitemu węgierskiemu dyrygentowi Ivánowi Fischerowi w Budapeszcie. Pierwszy spektakl poprowadził w 2005 r. w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie jako asystent Kazimierza Korda. To był „Don Giovanni” Mozarta w reżyserii Mariusza Trelińskiego z Mariuszem Kwietniem w głównej roli. Do tego tytułu wciąż wraca.

Gdy szefował Polskiej Orkiestrze Radiowej (2007-15), regularnie wy-

konywał mało znane opery. Robi to nadal w ramach Festiwalu Beethovenowskiego w Warszawie. - Dyrygentura współczesna jest sztucznym tworem. Podział na dyrygentów symfonicznych i operowych historycznie nie ma uzasadnienia - tłumaczy Borowicz. - To druga połowa XX wieku wykopała ten podział. Staram się robić i jedno, i drugie.

Zdobyć Paryż - i co dalej?

Borowicz zna Francję: pracował w Nantes, Montpellier, Marsylii, Nancy i Lille. Ze śpiewaczką Dianą Damrau i Orkiestrą z Lille wystąpił w Filharmonii Paryskiej, i to właśnie z Meyerbeerm. Czy spektakl w Operze Paryskiej okaże się zwrotem w jego karierze? - Nie podchodzę do tego w ten sposób - mówi. - Dla mnie dwa miesiące w Paryżu były niesamowite. Co będzie dalej, czas pokaże. Zawsze czekam na kolejne spotkanie z orkiestrą i publicznością.

Piotr Kamiński - krytyk operowy, autor przewodnika „Tysiąc i jedna opera” mieszkający w Paryżu - nie ma wątpliwości, że o pozycji dyrygenta decydują agenci. - Podejmują oni decyzję o „inwestycji” w artystę, wywłaczając najpierw, czy robi on wrażenie na publiczności, czy jest „sexy” - uważa Kamiński. - Na czym to polega, nikt nie wie, i nie ma gwarancji, ile to potrwa, czego dowodzą kariery dramatycznie krótkie.

Kiedyś przepustką do kariery był wygrany konkurs albo kontrakt płytowy. Dzisiaj konkursów się namnożyło, straciły na wartości. Płyty też traktuje się inaczej. Co zatem decyduje o tym, że dyrygent wchodzi do pierwszej ligi?

- Cudowny zbieg okoliczności. Sensacyjny koncert i spektakl pomagają, ale tu bez agenta i tak się nie obejdzie. Jednak konkurencja jest tak wielka, że czasem nawet kilka takich złotych medali nie wystarczy - ocenia Kamiński. - Wielkość i nieśmiertelność buduje się latami. Bernard Haitink - być może największy

żyjący dyrygent, który kończy w przyszłym roku 90 lat - od kilkunastu lat szybuje in excelsis, a i tak hałasu wokół niego mniej niż wokół Giergijewa i Currentzisa.

Kalendarz wypełniony

- Łukasz ma dyskografię, której bogactwa i wszechstronności wielu może mu pozazdrościć. Podobnie jak repertuaru i doświadczenia - kontynuuje Kamiński. - O talencie nie ma co mówić. Czekają tylko na swój moment, na iskry. Nie wiadomo, czy i kiedy to nastąpi. Niektórzy wielcy - Wand czy Celibidache - doczekali się gwiazdorskiego statusu dopiero koło sześćdziesiątki, innych doceniamy, kiedy już dawno ich nie ma.

Z Paryża Borowicz jedzie do Mediolanu. 27 października w Auditorium di Milano poprowadzi Filharmonię Poznańską - z którą współpracuje już 12 lat - w repertuarze polskim: Kurpiński, Chopin, Penderecki, Wieniawski (w listopadzie w tym samym składzie wystąpi w Pradze). Na przełomie października i listopada z BBC National Orchestra of Wales w Cardiff oraz wiolonczelistą Raphaellem Wallfischem nagra dla firmy CPO płytę z koncertami kompozytorów żydowskich.

Na wydanie czekają albumy: dzieła wszystkie na wiolonczelę i orkiestrę Weinberga, balet „Narcyz i echo” Czeriepnina, muzyka symfoniczna Alfvéna, „Requiem” Brucknera. Wszystkie dla zachodnich wytwórni. A opery? Rok 2019 upłynie pod znakiem Moniuszki. „Halka” w Theater an der Wien w reżyserii Trelińskiego z Piotrem Beczałą, „Halka” (wersja wileńska) w TWON oraz „Paria” w wersji włoskiej na Festiwalu Beethovenowskim.

- Magia teatru to coś, co opanowało mnie od momentu, kiedy po raz pierwszy świadomie wszedłem do opery - wspomina Borowicz. - To we mnie jest. To teatralna choroba, uzależnienie od sceny. Jak już ktoś „wpadnie” do opery, to przepadł. ●